



Od lewej rocznica 107 urodzin, po prawej przed domem starców Sadowski w VIII 1934 r.



Ruiny zabudowań rodziny Mallek w Wifuniach. Stan VIII 2010r

... dawniej Neidenburg

Sadowski — Mazura życiorys niebanalny

Michał Piotr Moszczyński

Każdy rejon i każda epoka ma swoich bohaterów. Tych ogólnie znanych i tych mniej. Jednym z takich ludzi był dla Neidenburg'a Friedrich Sadowski.

Gdyby spytać, któregośkolwiek spośród przedwojennych mieszkańców, i to tych dziś dobiega-jących 90-tki - o najbardziej znaną postać z dzieciństwa, odpowiedzieli by najpewniej – Sadowski.

I nie było by w tym ani krzty przesady. Choć urodził się w rodzinie chłopskiej, to w latach 30-tych XX w., stał się najbardziej znanym Mazurem. Pisano o nim nie tylko często w prasie niemieckiej, ale i także światowej.

By dociec do przyczyny tego niezwyklego zainteresowania, należy się cofnąć do dnia 27. października 1825. Wówczas to, jak napisano w artykule w „Neidenburger Zeitung” (z 5. grudnia 1936 r.), w Orłowie urodził się Anders Friedrich Sadowski. Jednak, jak się zdaje, nie używał pierwszego imienia. Został ochrzczony w kościele w Łynie.

Większość jego dorosłego życia, upłynęła na sumiennej pracy rolnika w rodzinnej wsi. Chwalono jego pracowitość i oszczędność. Te znaczne cechy charakteru miały mu towarzyszyć też przez całe życie. Nie był jednak osobą która by stroniła od drobnych przyjemności. W pamięci zapamiętano Go, jako namiętnego palacza papierosów. Przerzucającego je, podczas palenia z jednego kącika ust do drugiego. Wyroby tytoniowe były jego słabością. Oprócz fajki, miał zamiłowanie do modnej tabaki. Dla uzupełnienia zapasów mimo sędziwego wieku, chodził kilkanaście kilometrów do miasta.

Dużą firmą tytoniową produkującą własne papierosy z dominujących wówczas tytoniów bałkańskich czy tureckich, była firma M. Schmul'a (Wdowa - Evelin, żyła jeszcze w latach przedwojennych). Nieistniejąca kamieniczka zlokalizowana była, po wschodniej stronie „Kleine Markt”. Na wysokości dzisiejszego dojścia alejką do baszty będącej pozostałością po dawnych murach obronnych.

Inną przyjemnością, był mały „Schnäpschen”. Obok pospolitej „żytniówki” - szczególnym sentymentem jeśli to tak można nazwać, darzył miód zmieszany ze spirytusem. Był on także nieodzownym podarunkiem który przyjmował jako dodatek do wynagrodzenia za prace dorywcze do których i mimo sędziwego wieku się najmował.

Choć nic nie wiadomo o jego rodzinnym, to najprawdopodobniej spędził je w samotności. Nic nie wiadomo by posiadał bliską rodzinę. Jednak to co go odróżniało to to, że w wieku który by inni nazwali starością, on zabierał się za ... nową działalność. Zaoszczędzone pieniądze ulokował w małe gospodarstwo w Wiłuniach. W latach 20-tch XX w. był już rencistą. A więc zapewne ok. 1926 r. sprzedał gospodarkę rodzinie Mallek. Mieszkał u nich skromnie, z własnoręcznie wykonanymi meblami jak stół czy dwupiętrowe łóżko. Całość wyposażenia uzupełniał stojący w rogu piec kaflowy. Za przepierzeniem dzielącym pokój miał wydzieloną część, gdzie chował kozę i prosty ustęp. Pokój oświetlał lampą naftową.

Wybiegając w przyszłość nawet podeszły wiek dobiegającej 70 lat Małłkowej nie uchronił jej jak i innych kobiet z Safronki przed mordami czerwonoarmistów w 1945 r. Do dziś, przy drodze do Safronki zachowały się ruiny zabudowań po Mallkach. W dniu 100 urodzin, z pobliskiej szkoły mieszczącej się w Safronce odwiedziła go delegacja uczniów. Z okolicznościowymi piosen-

kami obdarowano solenizanta koszem ze smakołykami i butelką wódki. Nie mogło oczywiście zabraknąć wśród prezentów tak ulubionych przez niego papierosów. Dopiero w 1930 r. z inicjatywy nauczyciela tejże szkoły Boska, został umieszczony w domu starców mieszczącym się w budynku po starym szpitalu. I tu, nie przejmując się wiekiem, a miał już 105 lat, rozpoczął kolejny etap swojego życia. Dysponując fenomenalną pamięcią snuł swoje opowieści z początków XIX stulecia. Wędrując uliczkami miasta zapadł w pamięć ludzką, swoją sylwetką siwiutkiego staruszka, z dużą, nie mniej siwą brodą. W jasnozielonej kurtce i ciemnozielonych spodniach wsparty o laskę nie odmawiał przy tym poczęstunku żytniówką czy małym jasnym piwem.

W 1932 r. uroczyscie obchodzono jego 107 urodziny. Został wtedy najstarszym Niemcem. Z tej okazji zjechali nawet reporterzy z Królewca. Na ich pytanie jak się żyje jemu w domu starców odpowiedział – „Jak w niebie”.

W dzień swoich 111 urodzin – w 1936 r. hucznie obchodził kolejne urodziny. Przyjmował licznych gości przybyłych nawet z odległych zakątków kraju. Jednakże wkrótce zachorował i w piątek, 4. Grudnia 1936 r. o g. 20 zmarł. Został pochowany na katolickim cmentarzu 7. grudnia. Ceremonia zgromadziła pogrążonych w smutku liczną rzeszę mieszkańców zarówno miasta jak i powiatu. Nie było to przypadkowe. Dla współczesnych mu ludzi był jak najbardziej tym człowiekiem którego zwykło się nazywać żywa legendą. Był jak najbardziej symbolem regionu. Pamiętał czasy nie tylko Gregorioviusów, ale także cały rozwój miasta. Kiedy był nastolatkiem dopiero zaczęto budować w miarę Prusach nowoczesne drogi bite, a dożył transmisji telewizyjnych z berlińskiej Olimpiady w 1936 r.